

Noc przy konającym ojcu Osiem dni w śniegach

Na zdradliwych stokach Czerwonych Wierchów

ZAKOPANE, 11. 7. — Wczoraj o świcie powróciła do Zakopanego po 10 godzinach drogi ekspedycja pogotowia tatrzańskiego, która przyniosła skrwawione zwłoki tragicznie zmarłego ś. p. Bogumiła Lachockiego. Z ekspedycją powróciła również 13-letnia Kazimiera Lachocka córka zmarłego.

Córka ś. p. Lachockiego przeżyła przy konającym ojcu do świtu, a gdy tylko rozedniała ruszyła nadół, by sprowadzić pomoc. Schodząc z Czerwonych Wierchów potknęła się i pokaleczyła się. Dostawszy się wreszcie do Krzeptówki zawiadomiła o wypadku członka Ochotniczego Pogotowia Tatrzańskiego, Józefa Krzeptowskiego. Niezwłocznie zorganizowano ekspedycję, która wyruszyła na Czerwone Wierchy. Dzielną córeczką ś. p. Lachockiego, nie umiejąc dokładnie wskazać miejsca, w którym spadł jej ojciec, wyruszyła wraz z ekspedycją, nie zważając na zmęczenie i dotkliwie bóle z potłuczenia. Ekspedycja dotarła do miejsca wypadku o godz. 8 wieczorem i znalazła p. Lachockiego już nieżywego.

Na marginesie tragicznej śmierci ś. p. Lachockiego warto zaznaczyć, że okolica, w której pechowy turysta poniósł śmierć cieszy się w Tatrach najgorszą opinią. Wypadek Lachockiego jest 16-ym z rzędu śmiertelnym wypadkiem od czasu istnienia pogotowia tatrzańskiego, a więc od roku 1921.

Wartoby jednak przypomnieć wypadek, który zdarzył się również na stoku Czerwonych Wierchów w styczniu 1920 roku.

Narty i wszelkie wogóle wycieczki zimowe były podówczas nowością uprawianą tylko i wyłącznie przez zwarjowanych ryzykantów. Przy nartach posługiwano się jeszcze jednym kijem, a nie dwoma jak dzisiaj.

Jednym z zawziętych pionierów turystyki zimowej był podówczas Jarosław Venczeliczek z pochodzenia Czech, od urodzenia jednak zamieszkały w Zakopanem.

Pewnego dnia Venczeliczek wyruszył na Czerwone Wierchy tą samą drogą co ś. p. Lachocki. Już był pod szczytem, gdy nawis śnieżny, jakie często tworzą się na Czerwonych Wierchach oberwał się pod ciężarem turysty. Venczeliczek upadł nieszkodliwie, ale przy upadku złamała mu się narta. Kiedy bledził się nad tem, jak ją zreperować, ogarnęła go mgła.

Ta mgła trzymała go w śniegach 7 dni.

„Głód skręca mi kark” — notował zgrabiając ręką w djarjusz, który miał ze sobą. — „A cieggle muszę się ruszać, żebym nie zamarł. Już trzecią noc śpię krótko i bardzo ostrożnie: zakopuję się w śnieg i drzemię czuwając. Gdy tylko pocuję zimno, podrywam się, aby się rozgrzać ruchem”.

Dwa dni później w tymże notatniku pisze:

„Trzy dni mija, jak zjadłem ostatni kawałek chleba. Jem śnieg...”

Pod datą zaś ósmego dnia, kiedy góry były już wolne od mgieł, Venczeliczek pisze:

„Nie mam już siły ruszyć się, nie mam siły wołać” — charakter pisma jest rozlany i prawie nieczytelny. — „Mógłbym iść spowrotem, ale żeby się kopać przez takie śniegi — trzeba mieć tyle siły, ile ja miałem osiem dni temu. Liczę już tylko na to, że mnie ktoś znajdzie...”

No i — znaleźli go turyści, którzy zabłądzili na tymże szlaku. Ale znaleźli go... w lecie, nieżywego.

Odgrzebywanie dawnych grzeszków Sprawa umów bawełnianych

Jesteśmy w okresie, w którym co pewien czas wyciągane są na wierzch dawne grzechy i grzeszki. W ostatnim numerze „Przeglądu Gospodarczego” przypomniano sprawę umów bawełnianych.

„W roku 1934 Rząd zapewnił aleksandryjskiej firmie „Pinto and Co” do staw bawełny egipskiej do Polski w rozmiarze 50 proc. całego naszego zapotrzebowania. Firma „Pinto” dała w zamian za to przyrzeczenie uskutecznienia równowartościowego eksportu towarów polskich do Egiptu. Umowę opatrzone klauzulą, że ceny i warunki, które firma „Pinto” będzie oferowała polskim nabywcom bawełny, nie będą wyższe ani gorsze od cen i warunków konkurencyjnych.

W czerwcu 1935 roku zawarto analogiczną umowę z nowojorską firmą „Amsinck, Sonne and Co” w przedmiocie bawełny amerykańskiej. Ponieważ jednak firma „Amsinck, Sonne and Co” nie ma żadnej styczności z bawełną i nie mogła sama zająć się jej dostawą, przeto desygnowała do wykonania tej części umowy firmę „George Mac Fadden & Brother” w Filadelfii, jedną z największych firm bawełnianych w Ameryce. Stąd też potocznie umowę tę nazywają umową „Mac - Faddenowską”.

Te dwie firmy — amerykańska i egipska — otrzymały konkretny przywilej importowy, przywilej natury monopolistycznej, z którego już czerpią konkretne korzyści gospodarcze, zaś Polska otrzymała w zamian tytułem równowartości „przyrzeczenie”, że nasz u. przywilejowany dostawca będzie zarazem pełnił funkcję naszego eksportera.”

Jak się okazało, te pseudokompensacyjne umowy zostały podsunięte przez sprytnych ludzi, którzy chcieli zarobić na pośrednictwie. Podpisano je bez należytego zabezpieczenia obowiązku wywozu z Polski przez obydwie powyższe firmy. Rezultat musiał być opłakany dla polskich interesów gospodarczych. Bo oto

— „Mac Fadden w I półroczu 1935 roku importował do Polski bawełny północno - amerykańskiej za sumę ok. 966 tysięcy, prócz tego na podobną sumę zawarł kontrakty na dostawy, eksportował zaś zaledwie za 47 tysięcy. Przeto w okresie od I. VI. 35 do 31. I. 36 importował bawełny egipskiej za około 83 000 funtów szterli, eksportował do Egiptu za zł. 72 000?”

W ten sposób wyglądało wykonanie umów kompensacyjnych, które miały na celu utrzymać równowagę między sumą wycho- dzących z kraju pieniędzy za importowane towary przez gwarancję odpowiednio dużego wywozu polskiego. O żadnej kompensacie tu mowy być nie może, bo przecież 966 tysięcy dolarów nie równa się 47 tysiącom, a 83 tysiące funtów jest trzysta razy większe, co do wartości, od 72 tysięcy złotych.

Te dwie umowy handlowe „Polityka Gospodarcza” nazywa patologicznymi. Dają one nadto szereg korzyści obydwu firmom zagranicznym, stawiając je w roli monopolistów bawełnianych, którzy nie posiadali u nas konkurencji.

Otrzymały więc b. dużo, nie dając w zamian nic poza głosówkami przyrzeczeniami wywozu z Polski naszych towarów, czego, jak twierdzi organ przemysłowców, nie dotrzymują. Ponieważ została zahamowana konkurencja, więc polscy przemysłowcy płacą wyższe ceny, a polski bilans handlowy nie tylko nie poprawia się, lecz pogarsza.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

Na zapomnianem letnisku najlepiej wypoczywają nerwy

Gdy, po miesięcznym urlopie wraca się w skwarne lipcowe dni w rozpalone mury stolicy, ogarnia nas jakaś apatia. Tęsknie patrzymy poza siebie na minione dni, które przeleciały „jak z bicia strzelił”, a które powrócą dopiero za rok i to niewiadomo, czy w tej samej atmosferze. Tegoroczny bowiem okres urlopów wypoczynkowych jest doprawdy tak piękny, jak dawno tego nie pamiętano.

Urok pobytu na urlopie, podczas tak pięknej pogody, zwiększa się jeszcze wtedy, gdy się jest zdale od większych skupisk ludzkich, od modnych „kuror-
tów” i „badów”, gdzie zgiełk w małym środowisku jest niemniej dokuczliwy, niż największy ruch na skrzyżowaniu pryncypalnych ulic stolicy. Nerwy wypoczywają po ciężkiej, żmudnej pracy dopiero w ciszy nieznanego letniska, gdzie nie ma zbyt wiele kulturalnych urządzeń, gdzie pachnie prymitywem, ale zato ma się więcej bezpośredniej styczności z folklorem, z wsią polską, gdzie nie potrzeba na deptak wychodzić wystrojonym „na ostatni guzik”, lecz gdzie można cały dzień przechodzić bosą, w kostiumie kąpielowym, lub w jakimkolwiek przewiewnym przyodziewku. Nikogo to nie razi, a ileż przyjemności i ulgi daje zasuszonemu mieszcuchowi, który dopiero po kilku a może kilkunastu latach „odkrył”, że najlepiej wypoczywają nerwy na cichej polskiej wsi, lub na zapomnianem letnisku.

Byłem w Jedlni. Mała stacyjka kolejowa leży na szlaku coraz bardziej zapomnianym, łączącym Dęblin z Radomiem. Niedługo magistra kolejowa, przez którą przebiegały pociągi pospieszne idące via Dęblin do Krakowa i Lwowa, dziś po wybudowaniu linii radomskiej, stracił prawie zupełnie znaczenie dla ruchu kolejowego, ale przez to samo nabrała uroku, jako ciche ustronie.

W Jedlni jest pięknie. Bezpośrednia styczność z olbrzymim rezerwatem lasów sosnowych podkreśla walor tej miejscowości i staje się ona pożyteczna nie tylko dla przeciętnego obywatela, który pragnie letnie miesiące spędzić w ciszy, ale i dla osób cierpiących na choroby płucne. Piaszczysta gleba tych okolic sprawia, że nawet podczas najbardziej rzęsi- tych deszczów czy burz, nie ma tam błota, a rozmożone piaski pod ożywczym tchnieniem promieni słonecznych wysychają dosłownie w godzinę.

Miejscowość zdrowa, piękna, bliskość lasu i wody, sprawia, że coraz więcej osób zjeżdża tam rokrocznie, stawiając je w roli monopolistów bawełnianych, którzy nie posiadali u nas konkurencji. Otrzymały więc b. dużo, nie dając w zamian nic poza głosówkami przyrzeczeniami wywozu z Polski naszych towarów, czego, jak twierdzi organ przemysłowców, nie dotrzymują. Ponieważ została zahamowana konkurencja, więc polscy przemysłowcy płacą wyższe ceny, a polski bilans handlowy nie tylko nie poprawia się, lecz pogarsza.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

W Jedlni jest pięknie. Bezpośrednia styczność z olbrzymim rezerwatem lasów sosnowych podkreśla walor tej miejscowości i staje się ona pożyteczna nie tylko dla przeciętnego obywatela, który pragnie letnie miesiące spędzić w ciszy, ale i dla osób cierpiących na choroby płucne. Piaszczysta gleba tych okolic sprawia, że nawet podczas najbardziej rzęsi- tych deszczów czy burz, nie ma tam błota, a rozmożone piaski pod ożywczym tchnieniem promieni słonecznych wysychają dosłownie w godzinę.

Miejscowość zdrowa, piękna, bliskość lasu i wody, sprawia, że coraz więcej osób zjeżdża tam rokrocznie, stawiając je w roli monopolistów bawełnianych, którzy nie posiadali u nas konkurencji. Otrzymały więc b. dużo, nie dając w zamian nic poza głosówkami przyrzeczeniami wywozu z Polski naszych towarów, czego, jak twierdzi organ przemysłowców, nie dotrzymują. Ponieważ została zahamowana konkurencja, więc polscy przemysłowcy płacą wyższe ceny, a polski bilans handlowy nie tylko nie poprawia się, lecz pogarsza.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

W czym interesie były zawierane takie umowy? Traci na nich przemysł polski, traci kraj cały. A zarabia pośrednik i zagraniczny importer. O kompensacie mowy tu być nie może — tylko o stratach gospodarczych.

rocznie. Pomimo to niema zbyt- niego tłoku, a mieszcuchy warszawskie, czy radomskie zawsze znajdą pomieszczenie w miejscowym pensjonacie lub też w wynajętych uprzednio na cały sezon letni mieszkaniach. Niezwykłym walorem letniskowym tej miejscowości jest to, że niema tam zupełnie żydów, nie słyszy się przykrego szwargotu, nie widzi się przykrych twarzy, których tak dużo widzi się w Warszawie w północnych dzielnicach miasta i w osławionych podstołecznych Świdrach, Radosicach, Otwockach i Falenicach.

Przyznam się, że na tę pierwszą, nieznaną wilegiaturę wyjeżdżałem z pewnym lękiem. Nie wiedziałem, czy przez miesiąc zdołam wytrzymać na głuchej wsi, gdzie nie ma się zupełnie t. zw. kulturalnych rozrywek, oprócz zapasu książek, które się z sobą zabrało, lub też gazet, po które codziennie wędruje się z lasów jedlniańskich do pobliskiej stacyjki.

A jednak wytrzymałem. I to bez zbytecznego bohaterstwa, a raczej wprost przeciwnie. Wyjeżdżając z uroczaj Jedlni, płakałem w duszy, że to już koniec wywcześnie, że trzeba wracać do codziennej, znożnej pracy i bez entuzjazmu myślałem o zgiełkliwej Warszawie, szarpiącej codziennie nasze nerwy.

Stwierdzić muszę, że wypocznik miesięczny w głuchej Jedlni dał mi tyle zadowolenia i tyle sił do pracy, jak żaden dotąd wypocznik w modnych miejscowościach, czy to w górach, czy nad morzem. Na przyszły rok napewno tam przyjadę.

R. M.

Za cztery dni...

W nadchodzący czwartek rozpoczyna się ciągnięcie drugiej klasy trzdziestego szóstej Loterii Państwowej. Niewiele więc czasu pozostało na odnowienie losu, a przecież tylko posiada nie jego upoważnia do wzięcia udziału w ciągnięciu.

Trwać ono będzie dni cztery, nie licząc przerwy niedzielnej i zadecyduje komu przypadną dziesięć tysięcy wygranych wartości milion siedemset dwadzieścia tysięcy siedemset pięćdziesiąt złotych. Śród nich są wygrane: dwie po sto tysięcy złotych, tyle po pięćdziesiąt tysięcy i dwadzieścia tysięcy, cztery dzienne wygrane po dwadzieścia pięć tysięcy każda, dziesięć po dziesięć tysięcy, piętnaście po pięć tysięcy złotych i tak dalej.

Możliwość są zatem duże, ale naturalnie tylko dla posiadaczy losów; ten, kto zapomni o odnowieniu, sam będzie musiał sobie przypisać winę, że go szczęście ominęło, choć było tak blisko.

Spieszmy więc zaraz jutro do kolektury i zafatymy tę sprawę, a może fortuna uśmiechnie się do nas.

M. Salecki przed mikrofonem

Znakomity śpiewak, obecnie stały tenor oper zagranicznych, Mieczysław Salecki, wystąpi dnia 13. VII. o godz. 19.55 przed mikrofonem Polskiego Radja. Przy akompaniamencie Małej Orkiestry Polskiego Radja wykona wybitny artysta arje z uroczaj opery „Uprawdzenie z Se-raju” Mozarta, arje z oper Pucciniego i innych kompozytorów oraz pieśni polskie. Koncert ten zasługuje na specjalną uwagę radiosłuchaczy.

Z radja

A kiedy wyjeżdżacie...

Paweł i Gawel w jednym stali domu... Ale Gawłostwo wyjechali na wieś, a pani Gawłowa została w domu aparat radiowy (superheterodyny) i gramofon z trzema wyrantowanymi płytami. Przez dobre serce: niech służąca, kiedy sama zostanie na strażę mieszkanie, ma jakąś rozrywkę...

Rzeczywiście — dziewczyna „rozrywkę” ma. Od rana do nocy wygrywa raz po raz tesame trzy oklepiane przeboje, a otwarte okna roznoszą melodie po całym podwórzu czteropiętrowej kamienicy — ku rozpaczom kilku Pawłów, stomianych wdowców, zmuszonych siedzieć jeszcze w Warszawie.

Niepodobna przecież zamykać okien przy takim skwarze, a niepodobna znowu wysłuchiwać bez końca tegosamego. Człowiek kłnie djabełski wynalazek gramofonu i... przoknuje się namacalnie o dobrodziejstwo radja. Bo jednym lekarstwem na hałas jest: „klin klinem”. Otwiera się więc głośnik. Muzyka radiowa, choćby się trafiła na równie banalną i hałaśliwą, ma przynajmniej tę dobrą stronę, że dysponuje obszernym repertuarem.

Ba, ale od czegoż superheterodyna u Gawłów? Nadelektowawszy się gramofonem, Cerbera umowy zaczęła manipulować galkami aparatu i oto rozlega się na-

gle po całym podwórzu niesamowity ryk głośnika, puszczonego na fortissimo. Wytrzymać takiego hałasu nie są zdolne normalne ludzkie uszy, a i własnego radja słuchać nie sposób, bo tamto wszystko przekrzykują i w dodatku, dochodząc z przeciwnego końca podwórza, wywołują taki pogłos, że niczego zrozumieć nie można.

Wiele rozpacz i awantura. Interwencje u władz kamienicznych. Czasem pomagają, przynajmniej na jakiś czas. Ale bywają także wypadki, na które niema lekarstwa.

Kłeska ta musi być epidemiczna, skoro zajął się nią również w ostatniej swej pogadance kierownik biura studjów, zawiadamiając, że Polskie Radjo otrzymało w ostatnich czasach niemniej, niż 500 skarg tego rodzaju, i apelując do właścicieli potężnych aparatów, aby zeisłali głośniki. Ale to jeszcze nie wszystko. Należy przedewszystkiem skierować apel do tych, którzy powyjeżdżali z miasta.

Radjofonja nasza prowadziła tego roku propagandę za zabieraniem aparatów radiowych na letnisko. Ostatecznie, jest to rzecz indywidualna, czy kto może, czy nie może obejść się parę tygodni bez radja. Ale rzeczą interesu publicznego byłoby przekonanie

wszystkich radioabonentów:

— Kiedy wyjeżdżacie i nie chcecie zabierać aparatów ze sobą, zamknijcie je przynajmniej na cztery spusty! A pamiętajcie także, że i gramofon, gdy się znajdzie w niekulturalnych rekach, bywa narzędziem najwstrętniejszej tortury. Już niejednemu morderstwu z premedytacją ma na sumieniu Edisonowy wynalazek.

Przejdźmy do części sprawozdawczej. Pierwszy Festival muzyki polskiej, dany z dziedzińca zamku wawelskiego, a transmitowany do Niemiec i Anglii.

Pomyśl bardzo dobry, mający duże znaczenie propagandowe. Pewne jednak zastrzeżenia nasuwa dobór programu. Muzyka „polska” bowiem, to nie tylko muzyka ludowa lub na ludowych tematach oparta. Słuchając Rapsodji litewskiej Karłowicza, cudzoziemiec musi być również uderzony oryginalnością jej charakteru. W dalszych więc koncertach tego cyklu należałoby bardziej uwzględnić polskie kompozycje o inwencji oryginalnej, a nie dawać tak ogromnej przewagi muzyce ludowej. W tej ostatniej zaś, pierwszeństwo należałoby się tym utworom, które podają nasz folklor w formie najbardziej zbliżonej do oryginału. Jestem bowiem przekonany, że zagranica, słuchając krakowskiego festiwalu, o wiele więcej nabrała pojęcia o cechach indywidualnych polskiej muzyki ludowej z pieśni podhalańskich w układzie Walewskiego, niż n. p. z „Chmiele” Wiechowicza.

Pewne zastrzeżenia nasuwa również kwestja akustyki. Dziedziniec wawelski daje muzyce donośnie brzmiący rezonans i pojedynczy głos lub instrument wychodzi na jego tle bardzo imponująco. Natomiast chóry i orkiestra miały bardzo często brzmienie zamazane, a w „Tańcu z Osmolody” Palestra, gubiły się tematy w poplątanej siatce instrumentacji i ogólny koloryt kompozycji wypadł brudno i mgliście. Następne audycje z Wawelu należałoby poprzedzić gruntownymi próbami, aby zarówno ustawienie mikrofonów, jak i sam sposób dyrygowania, dostosować do specyficznych warunków tamtejszej akustyki.

Miłośnicy muzyki operowej mieli „używanie”: trzy dni pod rząd, najpierw „Rigoletto” (niebyle nie zaszkodziło, gdyby tę, tak bogatą w melodie operę, programy radiowe częściej uwzględniali), potem mało znaną, a warta wysłuchania operę komiczną Grossmana „Duch wojewody”, wreszcie krakowska operetka „Przygoda w Grinzingu” Len-czowskiego, dowodząca, że potrafimy wiedeńskiego „Heurigera” w niezgorszy sposób produkować i w kraju. O ile jednak w pierwszej z tych oper występował Kie-pura, to w dwóch następnych szwankowały właśnie partie tenorów. Za to transmisja dodatkowego koncertu Kiepury na Placu Teatralnym, po skończeniu „Rigoletta”, stanowiła rekord w swoim rodzaju.

W dziale słuchowisk mieliśmy występy Wilna i Krakowa. Wilno

zradzefonizowało Twainowski „Romans eskimoski” — rzecz nienadająca się na słuchowisko, a w każdym razie nie na półgodzinne, w dodatku przereżyszczone (hałaśliwe śmiechy w czasie poszukiwania zaginionego haczyka, nie przyczyniły się wcale do wzmocnienia nastroju); p. Szablowska, jako Laska, popełniła ten błąd, że recytowała swą rolę jak duże dziecko, z zupełnie opaczennym akcentowaniem wyrazów — co prawdopodobnie miało osiągnąć efekt naiwności, ale zupełnie go chybiło.

Kraków, nadając „Człowieka, który był czwartkiem”, złożył hold pamięci Chestertona. Jakkolwiek jednak już na dzień przedtem obszerna reklama przy zapowiedzi programu, zastrzyła apetyty słuchaczy na cuda, jakie miała tu wyczynić reżyserja p. Radulskiego, pokazało się, że rzecz — par excellence recytatorska — nie ma walorów słuchowiskowych, a już zwłaszcza nie nadawała się na słuchowisko niedzielne, które przecież powinno mieć charakter dla wszystkich zrozumiały. W dodatku forma fragmentu ma zawsze tę wadę, że pozostawia słuchacza w niezrozumieniu, o co właściwie chodziło — i z uczuciem niedosytu.

Miejmy nadzieję, że pamięć Chestertona zostanie jeszcze uczczona w jakiś właściwszy i skuteczniejszy sposób.

W programie letnim, jako przedewszystkiem dążącym do „lekości”, powinny być bardzo poczesne miejsce zajmować humor. Tymczasem z tym właśnie humo-

rem jest bardzo kiepsko. Podtrzymuje go już właściwie jedna tylko „Wesoła Fala” — w ostatnią niedzielę („40 stopni w cieniu”) lepsza, niż tydzień przedtem; udana była zwłaszcza piosenka „Ciche ustronie” oraz reportaż miejski. Za to „Wesoła Syrena” ze swoim „Symforjonem Drucikiem” (już nie po raz pierwszy straszącym przed mikrofonem), dała pokaz z nieprawdziwego zdarzenia. Przydałby się w tej audycji jeszcze jeden aktor, grający rolę spakera — dla objaśnienia słuchaczy, kiedy należy przestać ziewać i wybuchnąć gromkim śmiechem. Tak zaś, nie można się było zorientować...

W tygodniu poprzednim przydarzyła się stacyi lwowskiej zabawna historia. Nadawano w piątek reportaż z zawodów szymbowcowych w Ustjanowej (zresztą dość marnie wygłoszony), w czasie którego uparcie „przebijali” jakieś głosy. Po uważnem wsłuchaniu się, można było stwierdzić, że to mówili... Szczepko. Zapewne była to próba do „Wesołej Fali” (słów nie można było rozróżnić, tylko sam timbra charakterystycznego głosu). Widocznie więc albo lwowskie studio odcyfrowe nie jest dostatecznie izolowane, albo drzwi nie były zamknięte, albo wreszcie w studio słuchowiskowym zapomniano wyłączyć mikrofon, który łapał głos stojącego opodal Wajdy.

Była z tego incydentu jedna korzyść praktyczna: mogłem już w piątek zapowiedzieć znajomym, że w niedzielę wystąpi Szczepko.

Marjan Grzegorzycyk